

MĄŻEŃSTWO WOTENNI

Dawidek z dni ostatnich

39

ROZDZIAŁ XX.

Sino-szara, przesycona dymem i wilgocią mgła otula miasto. Żracym zjadliwym oddechem sięga do płuc, dokuczliwym zimnem przenika aż do kości.

Długi sznur ludzi czeka przed piekarnią, której nie otwarto jeszcze. Słychać tu ówdzie szemrania, ale na ogół głodny, wyczekujący tłum zachowuje się karnie i cierpliwie.

— A to ci zimno, gorsze niż w mroźl... — tupie nogami jakiś chłopczyna, pociągając zsiniałym noskiem.

— A palić nie ma czem!... Tydzień już jak węgiel do miasta nie przychodził.

— Podobno jest już w drodze.

— Aha!... obiecują... czekaj tatka latka, aż kobyłkę wilcy zjedzą...

— Głupim obiecują wciąż, bo oni ciągle wierzą... — zauważył jakiś posępny głos.

— Musi się wierzyć... bo choćby i nie, to co zrobić?..

— Możeby się i dało co zrobić!...

Na samym końcu „ogonka” stoi Józia Żarnicka. Zięble ręce bez rękawiczek wiuliła w rękawy palocika i czeka

Przyszła bardzo wcześniej, stoi tutaj już długo, ale nie ma dość silnych łokci, więc ją zawsze spychano w tył.

Stoi tak zrezygnowana, apatyczna, myśląc jedynie o tem, czy też dostanie dzisiaj chleba.

Zeszłym razem zabrakło dla niej i musiała obejść się bez śniadania. Przywykła już zresztą do tego.

Bo Józia poznała już na dobre, co to jest bieda, głód, zimno.

Mgła poczyna mżyć drobnym, przejmującym deszczem. Paltocik Józii powoli przesyca się wilgocią. Futerka swego już nie ma. Sprzedała. W ślad za futerkiem poszły dwie welniane sukienki. Broszka, branzolećka, zegarek powędrowały dawno do lombardu.

— A co potem?... Co potem?...

Od dwóch przeszło miesięcy szuka napróżno jakiegoś, choćby najskromniej płatnego zajęcia... I znaleźć nie zdołała. Może dlatego, że szukać nie umie.

— Nie pchać się! — woła policyant.

Sznur ludzki zakotłosał się gwałtownie. Otwarto drzwi piekarni.

Ściskając w rękę owinięty papierem kawałek ciemnego chleba, Józia przystanęła przed wystawą wędliniarni.

Wystawa ta, choć po wojennemu skromna, ciągnęła ku sobie jej oczy powiększone, szkliste, z których teraz bezustannie wзираł głód, przeżajający głód...

Za szalbą poukładane były zwoje kielbas, szare kiszki paszłętowe, widniał wielki, pękaty salceson.

Józia czuła w ustach słodką, mdłą ślinę... Ogarnął ją niepowstrzymany apetyt na mięso.

Nie namyślając się już dłużej, nie pomna, że całego majątku posiada tylko dziesięć koron z halierzami, weszła do masarni.

W pierwszej chwili cofnęła się, tak ją podrażnił zapach wędzonego mięsa.

Kupiła ćwierć funta kielbasy, a kiedy wyszła ze sklepu, nie mogła zapanować nad żądzą jedzenia.

Rozwinęła kielbasę i nie zważając na innych przechodniów, zatopiła chciwie zęby w podejrzaną wartość siekaninie, która jej wszakże wydała się teraz rajskim przysmakiem.

Ale gdy zaspokoila pierwszy głód, ogarnął ją wstyd i przestach.

Z rozpaczą ścisnęła niedojedzony kawałek kielbasy

— Co się ze mną dzieje? Czy to doprawdy ja jestem?!... ta sama?...

Sama zrozumieć tego nie może, że to ona z taką nienawiścią prawie spogląda na tę oto naprzykład damę w czarnym pluszowym, lisami obramowanym płaszczu i w eleganckim kapełuszu, że radaby przyskoczyć do niej i krzyknąć jej w twarz:

— Czy wiesz ty strojna, uśmiechnięta, wypasiona — co to jest nędza, głód, opuszczenie?! Ja wiem już! wiem!... wiem!...

Po mokrych od deszczu, błotnistych chodnikach śpieszą służące z koszykami, panienki jakież z teczkami... Zegar bije ósmą godzinę... To pracownice dążą do biur, do sklepów, do szkół... — Każda do swego zajęcia.

Józia ściga je wzrokiem zaiskrzonym za-

zdrością. Dlaczego tyle innych kobiet daje sobie radę w życiu, a jej tak ciężko?...

Wytracona jest zupełnie z równowagi, bo nie przywykła nigdy dotychczas opierać się na samej sobie... Inni myśleli za nią... Prowadziła ją zawsze czyjaś ręka, a choć była nieraz twarda, gniotąca, nielitośna, ale wskazywała drogę powszedniego dnia...

A teraz... Józii brak już sił do walki z życiem... Biedna, bardzo biedna jest Józia...

Mieszkała obecnie na Zamarstynowie. Wynajęła tam za dziesięć koron miesiecznie ciemną wilgotną ciupkę, w której lało się po ścianach, a grzyb zjadał podłogę

Na tandecie kupiła żelazne łóżko, stół, miednicę i tak wegetowała, brzydząc się swoją własną nędzą.

Coraz częściej błyskała jej myśl, że trzeba napisać do Walczakowej... Wszak to jedyny ratunek...

Kilka razy chwytła już za pióro, ale za każdym razem дума i wstyd paraliżowały jej rękę.

W sieni spotkała Józia stróżkę.

— Dzisiaj już piętnasty — zaczęła tamta szorstkim tonem — a pani jeszcze nie zapłaciła... Pan administrator upomina się... Ja muszę dzisiaj zanieść pieniądze...

Młoda kobieta zdrętwiała. Prawda! zapomniała o czynu... Musi oddać wszystko, co posiada w tej chwili i jeszcze nie starczy... Sięgnęła do kieszeni i wyjęła z portmonetki cztery dwukoronowe banknoty.

— Proszę pani Błażejowej... tymczasem tyle... — rzekła zaiakliwie — jutro dopłacę guldena.

Stróżka zrobiła niezadowoloną minę.

— Aby tylko na pewno — mruknęła, ale widocznie podziałał na nią żalostny, przerażony wzrok Józii bo w jej twarzy o gminnych, grubych rysach mignęło coś na kształt współczucia.

Zyczliwiej dodała:

— Założę już swoje i poczekam choćby kilka dni... Po prawdzie, to oni z panienki zdzierają... Za taką dziurę dość byłoby trzy reńskie — to dość, aż zanadto... Ale wiadomo, taki co dużo ma, chciałby jeszcze więcej...

— Dziękuję pani Błażejowej... — wyszeptęła Józia — ja napewno dopłacę w tym tygodniu...

— Ino jak panienka sprzedawać co chcesz — powiedziała Błażejowa, domyślając się źródła dochodów Józiny — to mnie daj; na tandetę poniosę bo „handele” to ocygani, jak ten pies...

— Słaby, przełotny rnmieniec wybił na złotawo-białe policzki Józii.

— Dobrze... dziękuję...

Błażejowa podparła się pod boki i kołysała się w biodrach, kręcąc jednocześnie w namyśle jakimś głową.

— Ale też to panienka kiepsko wygląda — zauważyła — lepszych do trumny kładą...

Józii przebiegł zimny dreszcz.

— A czy to panienka „famieli” jakiej niema?

— Nie mam... — odparła, patrząc łepem spojrzeniem nie w Błażejową, ale na kawałek brudnej, odrapanej ściany.

— A, to by se panienka mogła kawalera jakiego świecie poszukać... Zawsze z chłopem lżej; a nie tak samej biedować na świecie...

— Do widzenia pani Błażejowej.

— Do widzenia. Prawda, że to i mnie się spieszy. Muszę do tej rzeźniczki na obsługę. Chce mi się jak psu na wesele, ale kiedy prosi i prosi... Nie może posługaczki znaleźć, bo teraz wszystkie dziewczuchy to do wojskowej roboty idą...

Józia, która postąpiła już kilka kroków, zatrzymała się nagle:

— Pani Błażejowa... pani Błażejowa... — zaczęła drżącym, urywanym głosem — możebym ja mogła do tej rzeźniczki na obsługę... Potrafię sprzątać, ugotować...

Baba spojrzała zdumiona:

— Panienka?!

— No tak, ja...

— Ta przeżegnaj że się panienka krzyżem świętym!... Z takimi „rękami”; z taką gębusią do ciężkiej roboty!... Ta tam trzeba węgiel z piwnicy „dygować” i podłogi „szurować”...

— Ja mogę!... ja jestem silna... — prostowała energicznie swoją w ostatnich czasach wychudłą postać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)